

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 7 sierpnia 1909 r.

№ 32.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

21

Powieść historyczna.

Przyszłość! Niegdy, niegdy śniła o jakiejś mocy niepożytej, o jakiejś potędze nad potęgami, co ją poniesie, co gorycz nurtującą ubezwładni, co dźwignie ją tam, kędy myśl wielka niweczy bole samolubne, kędy cierpienie staje się rozkoszą.

Niegdy Emilia miała matkę, więc, obok tych marnieuchwytnych, posiadała widomy, blizki sercu cel życia. Dla matki i przy matce trwać, koić jej rozterkę, macierzyńskiej radości przyczynić jej tyle, by widma przeszłości zatrzeć w niej bezpowrotnie.

Niegdy Emilia z rozkoszą zadawała sobie przymus. Dla matki rozchmurzała czoło, dla niej śmiała się, dla niej siliła się na swywole, dla niej potakiwała planom w ziszczeniu których matka upatrywała rękojmię szczęścia córki. Dla siebie zaś, na chwile samotności, miała Emilia książki, rysunki, malarstwo, muzykę, konne wybieczki, zagłądanie do chat wieśniaczych, pustotę amazońskich ćwiczeń i ciągłą, nieustanną czynność i pogoń za znużeniem ciała, za ucieszeniem duszy.

Niegdy Emilia, na momenty wyczerpania, kryła nadto w zakątku swego serca pragnienie tak upajające, tak niezmożone, że dość je było tknąć, dość musnąć, by tę-

czowemi rozpostarło się blaski, by zahuczało zewem całego ludu, całej ziemi ojczystej, by piorunowemi zygzakami kreśliło hrabiance tak zawrotne hasła, że ani ich w głos wyznać, ani trzeźwym sądem ogarnąć.

Emilia zresztą nie śmiałaby nawet poddawać tego zakątka wiosekcji rozumu. Cóż, że lada skalpel mógłby go zniweczyć, gdy z tej wątlej mrzonki tyle hrabianka czerpała mocy, tyle przestrzeni dla lotu myśli, tyle zapалу do pracy...

Ileż pod czarem tego zewu tajemniczego prześlęczała dni nad księgami! Toć on, on właśnie budził w niej żarliwość do zapoznania się z arkanami polityki, do badania dziejów ojczystych, do krzepienia się ich chwałami, do szukania przyczyn ich klęsk. On, i wciąż on, niewolił ją do upijania się tem wszystkim, co w życiu narodów było męstwem, odrodzeniem, bohaterstwem, zmartwychwstaniem. I on, ten zew tajemniczy, ugiął kolana hrabianki przed wizerunkiem Dziewicy Orleańskiej i pogrążał ją w modlitewnej zadumie. I on sprawiał, że Emilia na wszystko, co nie było swojskiem, rodzonym, ojczystem, co było kompromisem, oportunistem politycznym, zimnem wyrachowaniem, obojętnością społeczną—miała wrażliwość czułka.

Tak bywało niegdy. Aż ze śmiercią matki szczeł dla Emilii i cel widomy, ten najbliższy, i ów zew niedosięgly. Została jeno pustka, jeno świadomość sieroctwa, jeno pamięć męczeństwa rodzicielki, jeno wrażliwość taż sama, lecz z nią już tylko bezsilność, tylko niemoc.

Hrabianka pochyliła się nad listem Mohlówny. Uśmiech bolesny wygiął jej usta.

Ocknąć się? Chyba zasnąć! Boć właśnie ocknienie ją łamie, boć ono sprawia, że nie masz wokół niej dali, któraby ją pociągała, że nie masz uludy, któraby jednała ją z życiem. Ocknąć się! Cóż uczynić, jak zgasić te przerażająco białe światła rzeczywistości? Ocknąć się! Więc skłamać miłość, więc pójść z obojętnym, pójść w łańcuchach na udawanie małżeństwa dobranego? Czy może dla miłości wyrzec się samej siebie, zaprzeć się tego, co miała za relikwie?... Czy też poglądać spokojnie i radować się, iż ukochany nie ma uprzedzeń, iż do każdej da się nakłonić ojczyzny?

Dallwig! Tegoby pragnęła widzieć innym, — ale nie kosztem ofiary, nie za wpływem postronnych sentymentów, pragnęłaby mieć go polakiem, lecz nie renegatem, nie polskim neofitą... Zaniecha

odwiedzin, nie przyjeżdża... Gdy był po raz ostatni, zagadnął, czy prawdą jest, iż generał Kabłukow otrzymał taką samą odpowiedź, jak Kłemeńko. A potem wtrącił nieśmiało, czy bezwzględnie polakowi tylko oddałaby rękę, czy nie znalazłaby pobjazania dla pochodzenia mniej zdecydowanego? Emilia zrozumiała ukrytą intencję, zrozumiała, iż jednym słowem zerwie nici, namotane przez lata, iż własnemu sercu zada cios... I to słowo wymówiła... I tu ocknęła się z ostatniego złudzenia!.. Z tego nawet złudzenia, że te lekcyje, że te strategiczne rozprawy, że te długie rozmowy w ulubionej altance na „Wyspie wierności“, że te przejażdżki nad Kołupskiem jeziorem trwać będą ciągle, zawsze, że nic w nich nie zmieni się na lepsze, ale że tak zostanie!

Zmódz się, przezwyciężyć?— Przecież pragnęła, przecież ważyła się na krok ku zdobyciu sobie celu życia!

Z ostatniego błogosławieństwa matczynego przesłała pożegnanie gorące, tkliwego przebaczenia pełne... temu, który wypadał jej po matce najbliższym, a którego nie znała, nie pamiętała...

W pismo do niego wystosowane zakłęła nadto wszystek ból sierocy, wszystką tęsknotę krwi. I wówczas zdało się jej, że stanie się węzłem, godzącym ojca z grobem matki, że ceniom rodzicielki zgotuje wieczne ucieszenie. I wówczas odżyła, wówczas dziękowała Bogu, że ją tą myślą natchnął, że ją do niej ośmielił.

Upłynęły miesiące na wyczekiwaniu — odpowiedź nie nadchodziła. Napisała po raz wtóry, powierzyła list najzaufańszemu ze sług... Hrabia odebrał, kazał pozdrowić hrabiankę, zapowiedział odpis—i znów na daremnem wyczekiwaniu zeszyły miesiące! A wszak nie pozwoliła sobie na żadną przesłankę, bo i w sumieniu własnem nigdy nie sądziła ojca, nigdy nie potępiała!.. Może odstręczyły go względy na podkomorzynę, która doń nieukrywany żal podotąd żywi? Lecz Emilia napisała ojcu wyraźnie, że, mimo całe przywiązanie

do podkomorzyny, do rodziny, do krewnych, gotowa jest przy ojcu trwać, gotowa wyrzec się posagu, zbytków, usunąć w zacisze, pracować na chleb, byle z nim być.

Hrabianka wsparła ociężałą głowę na rękę.

Nagle z pod rozpostartego arkusika, wyjrzała ku Emilii niewyraźna, licho odcisnięta w blady wosku pieczętka.

Emilia zatrzęsa się całym ciałem.

Znała ten rzut pisma, znała te skośne pociągnięcia, znała te rozwarne owale liter... W sepeciku matki dostał jej się list tą samą nakerślony ręką...

Od ojca! — Tak, tak, od ojca! Więc odpowiada, więc serce w nim przemogło, więc nie pozostał głuchym na głos dziecka!..

Oczy hrabianki łzami zaszyły. Chciała tchem jednym odczytać pismo, chciała jednym spojrzeniem ugasić radosną trwogę—nie mogła. List drżał jej w ręku, promienie, idące ze świec, opalowymi blaskami wypełniły źrenice Emilii.

A gdy nakoniec hrabianka zdołała opanować wzruszenie, list ożwał się do niej nadewszystko zakończeniem „kochający cię Ksawery“ i tem zakończeniem powiódł ją do swej treści... Z tego wynikło, iż ociężałe, zawile słowa pisma hrabiego nabrały dla Emilii przejrzystości, nabrały znaczenia...

Hrabia Ksawery zagajał podziękowaniem za drogą mu pamięć i pełną mglistej melancholii aluzją do niezbadanych wyroków, które rozszczepiają najlepiej skojarzone stadła. A dalej, wspomniawszy, iż, ze swej strony, cokolwiek miał do przebaczenia, przebaczył dawno,—zwracał się wprost do odwołania się córki. Dola Emilii—pisał hrabia—obchodzi go bardzo i dlatego właśnie na propozycję, by przy nim zamieszkała, zgodzić się nie może, nie jest bowiem w stanie zapewnić jej przystojnego bytu. Śmiech wyznać: jemu samemu na niezbędne nie wystarcza! A przecież dobra Antuzowskie nie Gasparowi, lecz jemu się należały! Ale, co tu mówić—rad jest, gdy może sprostać w wydatkach łykowi

wileńskiemu. Emilia nie powinna dręczyć się skrupułami; to, co ma, należy jej się święcie, bo rachunki z posagu matki nigdy nie były regulowane z Imbrodami. Tak samo jak i wiele, wiele innych. Serce ojcowskie raduje się szlachetnej gotowości podzielenia z nim niedoli, ale nie, nie może tej ofiary przyjmować. Wiedział o tem, że Emilia wyrosła na urodziwą pannę,—dziś przekonał się, że i dusza jej równie pięknie się ukształciła.

Spodziewa się, że los świetny będzie jej udziałem i że zacność charakteru nie pozwoli jej nigdy zapomnieć o tym, który w swych wielkich utrapieniach, nie małą znajdzie pociechę, że choć ona, Emilia, nie doświadcza niedostatku, że choć ona ocalała z pogromu, zgotowanego mu przez fatalność i ludzką obmowę.

Hrabiankę ból serdeczny przejął.

Wier ojciec, jej własny ojciec, w tak ~~ciężkim~~ jest położeniu, gdy ona opływa we wszystko! — Ha, i żyje myślą, że ona ma zać, że ona nie cierpi! Winy! Któż bez nich?—Lecz gdyby były, gdyby istniały, jej nic do win ojca, jej prawo upomnieć się o niego, nie zezwolić, by w opuszczeniu pozostawał! Boże! a ona wątpiła, brak dość szybkiej odpowiedzi uważała za oziębłość!.. A on, on tymczasem toczył z samym sobą walkę, pragnął... ale względ na dobro dziecka rozstrzygnął. Myślał: wolej niech się sam dręczę, niżby ona miała ponure dni ze mną dzielić! — Żal do ludzi dręczy go! Stryj Gaspar—toż najgodniejszy człek!—Ale nie jej rzecz dociekać, co było między braćmi. Powinnością jej: iść za głosem obowiązku, za głosem krwi. I pójdzie, pójdzie śmiało i nic, nic jej nie powstrzyma...

Z tem postanowieniem tego jeszcze wieczora zwierzyła się Emilia swej najbliższej opiekunce.

Podkomorzyna, na pierwsze słowa o hrabi Ksawerym, wyprostowała się, zacięła usta i stężała tak, w chłodem wiejącym, bezruchu. Lecz, pod tchnieniem gorących argumentów hrabianki, twarz staruszki złagodniała.

— Droższe mi są twe dobre intencje, niż moja gorzka racja. Powiedziałam ci, że możesz rozporządzać procentami twego posagu. Podziel je na dwie równe części...

Emilia chciała dziękować. Podkomorzyna nie zezwoliła.

— Nie mówmy o tem więcej, nie mówmy. Dasz adres Pruszyńskiemu, a już on dopilnuje, by uchybienia w wypłatach nie było.

— Jeszcze jedna prośba, ciotenku.—Tą pierwszą wypłatę zawiozę sama do Wilna.

Podkomorzyna zbladła.

— Do Wilna, ty, ty chcesz do niego?..

— Do ojca! — odrzekła z naciskiem hrabianka.

— Ależ to niepodobieństwo! Dziecko drogie, porzuć ten niewczesny zamysł... Tam nie ma dla cię miejsca — słyszysz, nie ma! Zważ na pamięć matki! Przebaczyła mu! — Lecz z przeżenienia tego dla cię nic zgoła.

— Powinność nie tylko materialnej pomocy...

— Żadnej powinności! Ksawery stracił majątek, potargat

wszystkie węzły. Dziesięć razy usiłowano go ratować. Przepaść między wami. Pisz do ciebie! Lecz nie dociekaj pobudki!

Podkomorzyna długo jeszcze przekładała Emilii, by nie wystawiła się dobrowolnie na bolesne odczarowanie, aż pokonana uporem hrabianki, a bardziej widokiem jej przygnębienia, uległa.

Emilia chciała natychmiast wyjeżdżać. Podkomorzyna atoli zdołała wymódl, iż zaczeka bodaj na pierwszy mróz, na dróg poprawienie się. Wzamian zaś, by niecierpliwość hrabianki zaspokoić, doradziła jej przestać kilka słów odpowiedzi wraz z obligiem do wileńskiego bankiera.

Tymczasem, snąc mróz postanowił dopomódz Emilii, bo we dwa dni całą rozciecz jesienną zwał i dopiero sfolgowawszy nieco, aby śnieg miał czas grudę pachami wysłać, jął Dżwinę skuwać.

W tydzień niespełna przed ostatni dom pana radcy Pruszyńskiego, położony tuż pod Górą Zamkową, w Wilnie, zajęła poszóstna, na saniach osadzona, lan-

dara, przywołując hrabiankę Emilię i towarzyszącą jej z woli podkomorzyny, Anetkę Prószyńską, córkę liksnańskiego zarządcy.

Państwo radcowie dwakroć uradowani, bo nie tylko widokiem krewniaczki, lecz i zaszczytem goszczenia hrabianki Platerówny, wychowawicy i familiantki podkomorzyny Zybergowej, jeśli co tchu posiłek gotować dla przybyłych. Aliści, kiedy po troskliwym przeglądzie zastawy, zastukali do pokoiku panien—we drzwiach stanęła tylko Anetka...

Pani radczyni jeszcze nie potrafiła wyrozumieć z półsłówek Anetki, co za pilna sprawa zniewoliła hrabiankę do tak pośpiesznego udania się na miasto, gdy Emilia już zdołała dosięgnąć niepozornego dworku na Zarzeczcu.

Tu hrabianka przystanęła, odechnęła i jakby sił nabrawszy, wstała na ganek i zastukała zlekka do drzwi.

Dworek milczał.

Emilia rozejrzała się dokoła po pustkowiu i zastukała znów. I tym razem odpowiedzi nie było. DCN.

Dzikość i swojskość.

Jeden ptak żyje nisko,
Drugi fruwa góraj;
Być orłem jeden pragnie,
Drugi chce być kuraj.
Ptak orzeł jest nie swojski,
Czyli jest ptak dziki.
Kur w wioskach pełniuteńkie
Swojskie masz kurniki.
Lecz dzikość, choćby orla,
Sprzeczną jest kulturze—
Więc tu wam zalecamy
Mieć ideał w kurze.
Nie harda, nie wybredna,
Kura je poślady,
A orłu panu dawaj
Z przednich mięs obiady.
Do lotu wzwyż ma orzeł
Rozwinięte skrzydła:
Wysoki żaden widok
Kury nie usidła.
Najmilszy jest orłowi
Polot ponad chmury:
Nie marzą w tym kierunku
Fruwać zgoła kury.
Pocziwe i przywykłe
Jaja nieś kokosze
I do wysiadzania
Tych jaj wielbią kosze.
Nie tęskni kura nigdy
Za niebieską mrzonką:
Lecz wiernie służy ludziom
Swojskie to stworzonko.

Zaś orzeł nigdy znosić
Ludziom jaj nie będzie,
Nie będzie wysiadywał
Pośród kur na grzędzie.
Jeżeli ktoś go złapie
I obetnie loty,
Niewoli swojskiej nie chcąc,
Woli mrzeć z tęsknoty.
Nad wiejskie syte życie
Z gęśmi i indyki
Przenosi nieistnienie
Orzeł — niezbyt dziki.
Zrodzony na wyżynach,
Z królewskiego rodu,
Pośladów swojskich nie chce:
Choćby umrzeć z głodu.

* * *

Lew, chociaż ma w zwierzyńcach,
W cyrku, mięs odpadki,
Choć mu nie kapie na łeb,—
Nienawidzi klatki.

Przeciwnie osieł: żadnych
Swobód nie ma w cenie
Bo najbardziej pociąga
Osła oswojenie.

To, co się kulturalnie
Po naszymu zwie rząd,
Edenem jest dla swojskich,
Piekiem dzikich zwierząt.

Dlatego społeczeństwo
Z osła ciągnie zyski,
A lew jest, jako zbytek,
Wytępienia blizki.

Bezpieczny jest potulny
Zwierz o długim uchu,
A lew—buntownik, zawsze
Gotów do wybuchu.

Z dobytkiem dżwiga osieł
Rad na grzbiecie juki,
A lew nie będzie służył
Ludziom, jak pajuki.

Więc jakąż ze lwa korzyść?
Widowisko w klatce:
Pogromca, ukazując
Mieszczan go czeladce,

—Oto—mówi—król pustyń,
Lew, wcielona siła,
Którą bat i roztropność
Ludzka poskromiła.

Spójrzcie, jak musi skakać
W obręcz, jak się zbliżam
Do niego śmiało...patrzcie,
Jak mu wprost ubliżam. —

A osieł? Z dawna dzikie
Porzucił zarośle,
Więc mu nie powiesz złego
Słowa, prócz:—ty osieł!

Gdy umrą obaj, z osła
Ma pożytek rymarz,
A lwa najwyżej wypchasz
I w muzeum trzymasz.

Lub w sypialni przed łóżkiem
Rzucisz i z pogardą
Depczesz, odważny człeczce,
Bosą nogą—hardo.

Jan Lemański.

MARZYCIEL.

28

— Zginął! Czy być może? Ależ ja nic o tem nie wiedziałam! — zabulgotała wystrachana.

— A przepadł nieszczęsny. Mieszkała kiedyś w tym pokoju siostra naczelnikowej.

— Moja kuzynka, nie rozumiem, jaki to ma związek..!

— Zaraz go pani zobaczy! A ciekawa była, jak wszystkie kolejarskie ablegry, i, naturalnie, codziennie wyglądała okienkiem na osobowe. Tak miło suszyć zęby do pasażerów! Pomocnikiem zawiadowcy był wtedy wyjątkowo przystojny chłopak, a że i panna była i owszem, też niczegowata, więc się zaczęło, jak zwykle: ona sypała perskie oczko, on zapuszczał żórawia, potem leciały uśmieszki, potem zrobiła się znajomość, potem były obiady u zawiadowcy, potem kwiaty, potem spacer przy księżycu, wreszcie panieński pokoiczek i słodkie samnasam, wreszcie coś... tego... I poszło takim ekstracugiem, aż przycapnęli chłopaczka i musiał się ożenić! Przepadł z kretelem! Więc niech się pani nie dziwi, że obawiam się tego pokoju! — zakończył ze śmiechem.

Panna Irena znalazła wreszcie swoje binokle i, wcisnąwszy je na szpiczasty nos, spojrzała piorunująco i odeszła bez pożegnania.

Zrobiło mu się trochę głupio, poczuł bowiem, że mocno przeholował.

— Ale na dłuższy czas będę miał od niej spokój! — pocieszał się, biegnąc do domu.

Brał przymrozek i chrupało pod nogami, ale noc była dziwnie mętna i jakoś ocieźała, jakby w omdlałem wyczerpaniu, zwała się na śniegi; gwiazdy, niby bladawe motyle, drgały niekiedy w posępnej kurzawie, przysłaniającej niebo; stacyjne światła mżyły się w czerwonych otęczach, a nagie drzewa majaczyły jak czarne widma. W marcie, przysnatającej cichości nocy tylko druty telegraficzne dygotały nieustannie, jęklwym pobrzękiem,

głucho dudniły przelatujące pociągi, głucho huczały świstawki parowozów i głuche, mrące echa roznosiły się ze stacyi.

Było jeszcze dosyć wcześnie, jeszcze we wszystkich domach świeciły okna, tylko u Soczków zamknięte okiennice nie przepuszczały ani żdźbła światła, więc Józio, myśląc, że już śpią, przemknął się cichutko jak wąż do mieszkania.

Zapalił lampę i bardzo przyjemnie się zdziwił, bo na stole, przystrojone w żółte bibułki, stało parę doniczek blado-fiołkowych hiacyntów.

— Pocziwa dziewczyna! — pomyślał o Frani, napawając się odurzającym zapachem.

Ale tuż za nim wpadła Magdzia i zaraz od proga zawołała:

— Prawda, jakie śliczności? Sama pani chodziła po nie do miasta...

— Twoja pani! To powiedz, że ja bardzo dziękuję.

— A to pan se powiedzą sami, bo pani prosi na kolację.

Nie miał wielkiej ochoty, ale w mieszkaniu było tak jakoś pusto i nudno, że poszedł.

W jadalni nie było nikogo, czekał tylko pod zapaloną lampą okrągły stół, przyozdobiony hiacyntem i zastawiony przekąskami.

— Musi być, co moja pani jeszcze się śtafiruje! — objaśniała Magdzia, wnosząc samowar.

Zaczął się przyglądać jakimś pięknościom, wiszącym na ścianie w laubzegowych ramach. Posłyszał za sobą szelest, lecz nim zdążył się odwrócić, już jakieś ciepłe ręce spadły mu na oczy, gorący oddech oblał mu kark i wpierały się w niego rozkoszne miękkości.

— Proszę się nie odwracać, jestem w negliżu! — zaszeptał omdlewający głos.

Odwrócił się tem pośpieszniej. Odkoczyła nibyto z przerażeniem i, zakrywając skrzyżowanymi rękoma paromorgowy dekolt, zaszczębiotała:

— Ależ nie można, nie wypada, niech pan nie patrzy!

— I można, i wypada i na cudności patrzeć wolno! — odpowiedział tym samym tonem.

— Naprawdę! Podoba się panu mój szlafroczek? — wykrzyknęła, zapominając już o wstydzie.

— Prześliczne łaszki, pierwszy raz widzę coś podobnego.

— Łaszki, bardzo proszę. Niech się pan przyjrzy! — zadąsała się i, wstąpiwszy w krąg światła, stanęła w całej okazałości. — To moja własna praca! — dorzuciła z dumą, okręcając się przed nim na wszystkie strony.

Złotawy szlafroczek, brzmowany koronkami, a przybrany błękitnymi wstęgami, spływał luźno po jej bujnej postaci. Nizko upięte włosy były przeplecione również błękitnymi wstążkami, w uszach lśniły olbrzymie, podejrzanego wartości turkusy, na szyi, między grubymi obręczami tłuszczu, różowił się sznur białych koralików, a na rękach brzęczały bransolety. Okrągła, tłusta twarz polśniewała mimo pudru, a zapasione oczy błyszczały wyzywająco.

— Cudownie. Ale cóż to za uroczyść, że pani się wystroiła?

— I pan ani przeczuwa? Ani się domyśla? — szepnęła, przeszywając go wzrokiem.

— Doprawdy, że nie; a może to pani imieniny? — zapytał z zupełną szczerością.

— Boże, co ja robię!.. co pan sobie o mnie pomyśli! — jęknęła, zasłaniając sobie oczy.

— A cóż ja mogę pomyśleć? — wykrzyknął ze zdziwieniem i usiadł przy stole.

Osunęła się na krzesło i wyciągnęła do niego rękę, upstrzoną w pierścionki.

— Nawet się pan nie przywitał ze mną!

— Ale, co gorsze, nie podziękowałem jeszcze za kwiaty i dopiero teraz serdecznie dziękuję.

Pocałował ją w rękę i podsunął półmisek, ale jeść nie chciała.

— Nie mogę, boli mnie głowa i taka jestem smutna, taka strasznie smutna!—zajęczała ni z tego, ni z owego, a wsparłszy brodę na dłoniach, zatopiła w nim rozłzawione oczy...

— Magdziu! A pójdziesz, bydlaku jeden!—zakrzyczała naraz, odpędzając się serwetką przed wyłłem, który wpadł do pokoju i rzu-

cał się na nią z radosnem skomleniem.—Magdziu, zabierz psa! Mówiłam ci już tyle razy, żebyś go z kuchni nie wypuszczała!

— Za ogon przecież go nie przywiążę, a obrózkę kajś zadział—wrzasnęła na odlew Magdzia, wyciągając skowyczącego psa.

— Cicho! żebyś czego nie oberwała!

I tak za nią trzasnęła drzwiami, aż się zatrzęśły ściany. Ale

uspokoila się rychło i, powróciwszy do dawnej pozy, zaczęła się cicho i żałośnie wyżalać na osamotnienie i brak przyjaznej duszy, aż Józio spojrział na nią ze współczuciem.

— Ani przemówić mam do kogo, ani się przed kim użalić, ani nawet wypłakać. Bo niech pan tylko pomyśli, jaka ja jestem strasznie sama!

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

32

Gdy wyszła znowu z rewolwerem w rękę, na werendzie, akurat naprzeciw jej okna, stał Androwski. Uchylił kapelusza i z twarzy jej przeniósł wzrok na rewolwer.

Była zdziwiona jego obecnością, nie słyszała bowiem zupełnie jego kroków, pozostając wśród uczuć żałosnej samotności. Widziała go teraz dopiero po raz pierwszy od czasu, jak zniknął z ogrodu dnia poprzedniego.

— Pani wychodzi?—zapytał.

— Tak jest.

— Nie sama?

— Przypuszczam, że tak. Chyba, że znajdę Batucza na dole.

Wsunęła rewolwer do kieszeni swobodnego ubrania, które miała na sobie.

— Ależ na dworze ciemno.

— Niedługo będzie świt. O! proszę zobaczyć.

Wskazała w kierunku wschodu, na którym światło łagodne i tajemnicze, niby dalekie blaski w opalu, przebijało się wdzięcznie na niebie.

— Pani nie może iść sama.

— Jeżeli nie będzie Batucza, muszę iść sama. Przysięgam i muszę dotrzymać. Zresztą nie widzę niebezpieczeństwa.

Androwski wahał się, patrząc na nią z wyrazem trwożnym i prawie podejrzliwym.

— Do widzenia z panem, panie Androwski.

Postąpiła ku schodom. On szybko podążył, jakby chcąc zastąpić jej drogę.

— Niech pan się nie trudzi, żeby towarzyszyć mi na dół.

— Jeżeli... jeżeli niema tam Batucza, czy nie mógłbym zaopiekować się panią?

Przypomniała sobie słowa hrabiego i odpowiedziała:

— Niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie, dokąd idę. Idę, żeby pożegnać hrabiego Anteoniego, zanim wyruszy w podróż przez pustynię.

Androwski stał w miejscu bez słowa na ustach.

— A teraz — czy pan zechce pójść, jeżeli nie znajdę Batucza? Proszę pamiętać, że nie lękam się bynajmniej.

— Może on jest tam, jeżeli mu pani mówiła.

Rzekł mruklawie te słowa. Całe jego obejście zmieniło się. Wyglądał teraz bardziej, niż powściągliwie — zimno i dziko.

— Być może.

Poczęła schodzić ze schodów. Nie towarzyszył jej, lecz stał, patrząc wślad.

Gdy zeszła pod arkadę, ujrzała, że nie było tam nikogo. Batucz zapomniał lub przespał porę. Mogła była przejść pod dachem, który był poszyciem werendy, lecz zamiast tego wyszła od razu na drogę. Androwski był nad nią u poręczy. Spojrzała ku niemu i rzekła:

— Niema go, ale to nic nie szkodzi. Zorza już wstaje. *Au revoir!*

On uchylił zwolna kapelusza. Gdy szła już w dal drogą, on wciąż go trzymał w rękę i patrzył wślad za nią.

— On nie czyni, jak hrabia — pomyślała Domini.

Na rogu skrzyła w ulicę, gdzie wróżbiarz z piasku miał swój sklepik, i gdy przechodziła blisko jego drzwi, uczuła pewne drżenie. Nie pragnęła ujrzyć tych oczu przenikliwych, patrzących na nią w półciemności, i przyśpieszyła kroku. Obawa jej atoli była bezzasadną. Wszystkie drzwi były zamknięte,

wszyscy mieszkańcy pogrążeni w śnie głębokim.

W połowie drogi dostrzegła, że ktoś idzie za nią zwolna ulicą. Przez chwilę myślała, że to wróżbiarz ją ściga, lecz rodzaj chodu powiadomił ją prędko o omyłce. W ruchach idącego była ociężałość, całkiem niepodobna do zwinności i węzowej sprawności Alui'ego. Aczkolwiek nie mogła widzieć twarzy, ani nawet odróżnić ubrania w szarości poranka, jednakże poznała, iż był to Androwski. Czuwała nad nią z odległości. Nie zatrzymała się, lecz szła wciąż prędko naprzód. Nie chciała, by wiedział, iż go widziała.

Kiedy przyszła na wielką drogę, która szła brzegiem pustyni, zastała już tchnienie jutrzni; wiało ono od wschodu poprzez równię pustyni i niosło z sobą czystość niebiańską. Pomiędzy palmami, tam, w dali, naprzeciw Sidi-Zerzura, ponad wielką linią niebieską Sahary, wstał łuk głębokiego, czerwonego złota. Słońce szło objąć władzę nad światem już czuwającym.

Domini uczuła tęsknotę jechania na spotkanie słońca, powitania go miłosnego wśród obszarów piaszczystych, i słowa otwarte egipskiego „Pokłonu Słońca przez Dusze Doskonałe” spłynęły na jej wargi:

„O, pokłon Tobie, Boże Słońce, Panie Niebieski, Królu Ziemi! Lwie Wieczorny! Duszo wielka i boska, żywa po wsze czasy”.

Dłaczego nie poleciła przyprowadzić swego konia, by mogła pojechać kawał drogi z hrabią Anteonim? Zdawałoby się jej, że wyrusza na wielką podróż w pustynię.

Czerwono-złoty łuk stał się półkolem chwały płonącej; zatrzymało się ono na głębi błękitnej, a potem cały krąg wytoczył się majestatycz-

nie i wzniosł się pogodnie na niebie bezchmurnem. Potok światła spłynął na oazę, i Domini, która zatrzymała się przez chwilę w zachwycie milczącym, podążyła szybko poprzez wioskę murzyńską, która już drgnęła życiem, drogą, wiodącą do białej willi.

Nie obejrzała się, by zobaczyć, czy Androwski ciągle idzie za nią, bowiem, odkąd słońce wzeszło, miała to nieprzeparte wrażenie, iż nie masz go już w pobliżu.

Oddał ją niechybnie pod straż złotą słońca.

Wrota ogrodu stały na oścież otwarte. Gdy weszła, ujrzała trzy wspaniałe konie, wspinające się na placu piaszczystym pośrodku małego grona arabów. Smain powitał ją z pochoptnością uprzejmą i prosił, by zechciała pójść z nim do palarni, gdzie hrabia czekał na nią.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony! — rzekł hrabia, spotykając ją w progu. — Liczyłem na panią, jak pani widzi.

Śniadanie na dwie osoby było nakryte na małych stolikach z palarni: kawa, jaja, ciastka, owoce, słodczyce. I wszędy pączki kwiatu pomarańczowego napełniały świeże powietrze słodczą wytworną.

— Jak wspaniale! — zawołała Domini. — Śniadanie tutaj! Ale nie... nie tu!

— Dlaczego nie tu?

— Na tem właśnie miejscu był on.

— Alui! Jakże przesądna pani!

Odsunął stół. Siadła w pobliżu drzwi i nalewała kawę dla nich obojga.

— Wygląda pan prawdziwie, jak przywódca wyprawy.

Spojrzała na jego ubranie podróżne i na długi bat. Szklą dymne były przewieszane przez jego pierś na cienkim sznurku.

— Będę miał ciężką jazdę; ale ja jestem wytrzymały, chociaż pani nie przypuszcza tego. Prześcigałem ubiegłych lat wytrzymałością wielki zastęp moich przyjaciół.

Stłukł wytwornie jaje i począł jeść z apetytem.

— Jaki pan dziś poważnie radosny! — rzekła Domini, podnosząc parującą kawę do ust.

Uśmiechnął się.

— Tak jest. Jestem dziś szczęśliwy, jak jest szczęśliwy człek zbożny, gdy po długiej gnuśności idzie znowu do kościoła.

— Pustynia zdaje się być rzeczą wielką dla pana.

— Czuję, że idąc do niej, idę do swobody, więcej, niż do swobody.

Przeciagnał ramiona ponad głową.

— A jednak pozostawał pan przez cały czas wciąż w tym ogrodzie.

— Czekałem na moją dolę, jak pani czeka na swoją.

— Jakaż ja mogę mieć dolę?

— Przyjdzie — rzekł z przeświadczeniem. — Nie chybi, przyjdzie.

Zamilkła, myśląc o widzeniu wróżbiarza z piasku, o karawanie wielbłądów, ginącej w burzy na drodze ku południowi. I naraz zapytała go:

— Czy pan powróci tu jeszcze?

Spojrzał na nią zdziwiony, a potem się uśmiechnął.

— Oczywiście. A pani myślała...

— Że może pan nie zechce już wracać, że może pustynia zatrzyma pana.

— A mój ogród?

Spojrzał poprzez pełną wdzięku ścieżkę piaszczystą i strumyk płynącej wody ku wielkim drzewom, poruszonym przez świeży powiew jutrzniany.

— Będzie brakowało tu pana.

Po chwili, podczas której jasne jego oczy towarzyszyły jej, rzekł:

— Wie pani, ja bardzo wierzę w przecucia dobrych kobiet.

— Czyż tak?

— Wierzę prawie fanatycznie. Czy pani mi odpowie na pytanie od razu, bez namysłu, bez chwili zastanowienia?

— Jeżeli pan sobie życzy...

— Proszę o to.

— Zatem?

— Czy pani widzi mnie jeszcze nadal w tym ogrodzie?

Głos odrzekł:

— Nie.

Był to głos jej własny, a jednak zdawał być się całkiem innym, z którym nie miała nic wspólnego.

Wielkie uczucie smutku spłynęło na nią, gdy głos ten usłyszała.

— Proszę wracać! — rzekła.

Hrabia powstał. Jasne oczy jego spochmurniały.

— Jeżeli nie tu, spotkamy się jednak, tusz — rzekł zwolna.

— Gdzie?

— W pustyni.

— Miałyby wróżbiarz?.. Nie, nie mów pan tego.

Wstała też.

— Czas już dla pana wyruszać.

— Niedługo.

Ogarnął ich rodzaj przymusu. Przez chwilę czuła to prawie z bólem. Czy źródło tego tkwiło w jej myślach, czy w jego? Nie mogłaby powiedzieć.

Poszli zwolna jedną z małych ścieżek i oto mimowiednie zatrzymali się przed małą komnatką, w której usadowiony spoczywał pies purpurowy.

— Gdy nie mam już nigdy tu wrócić, muszę go pożegnać — rzekł hrabia.

— Ale pan wróci, wróci.

— Głos wyrzekł: „Nie“.

— Głos ten kłamał.

— Być może.

Spojrzeli wewnątrz przez okno i spotkali się z okrutnym wzrokiem psa.

— A gdy nie mam już wrócić, czy będzie on czekał na księżyc za swego starego pana? — rzekł hrabia z żartobliwym, lecz razem smutnym uśmiechem. — To ja go tu umieściłem. Będą-li te drzewa, z których mnogie sadzone moją ręką, szemrały po mnie? To głupstwo, nieprawdaż, panno Enfiliden? Nigdy nie mogłem odczuć tego, by to, co rośnie w mym ogrodzie, znało mnie tak, jak ja to znam.

— Ktoś będzie pana żałował, gdy pan...

— Będzie pani? Będzie pani istotnie żałowała?

— Tak jest.

— Wierzę temu.

Spojrzał na nią. Z wyrazu jego oczu mogła być widzieć, iż nościł się z myślą powiedzenia jej czegoś, lecz jakieś pasujące się uczucie, a może powściągliwość, powstrzymywały go od tego.

— Cóż takiego?

— Czy mogę mówić z panią otwarcie, bez urażenia jej? — zapytał. — Jestem w rzeczy samej prawie już stary, proszę to wiedzieć.

— Niech pan mówi.

— Ten gość mój wczorajszy...

— Pan Androwski?

— Tak jest. Zajął mnie bardzo, niewymownie.

— W istocie? Mimo... że był w swojej najgorszej fazie?

— Być może właśnie dlatego.

Tak, czy owak: zajął mnie więcej, niż ktokolwiek z ludzi, których widziałem ostatnimi laty. Ale...

Zatrzymał się, patrząc na małą komnatkę, w której pies dzierżył straż.

— Ale zajęcie moje zostało zwiłkanem przez uczucie, iż mam przed sobą istotę ludzką, która jest, jak to mówią, na udry z życiem, z sobą, a nawet z samym Bogiem... iż mam przed sobą człowieka, który uczynił to, czego żaden arab nigdy nie uczyni: bluźnił Allahowi w ogrodzie Allaha.

— Och!

Wydała lekki okrzyk bólu. Zdało się jej, że hrabia zrywał i wyrażał rozpostarte, pół-ukształtowane jej własne myśli.

— Proszę wiedzieć — ciągnął dalej, patrząc uporczywiej na komnatkę psa, — iż tu w Afryce jest wiele napływowej ludności, złożonej

z najróżnorodniejszych żywiół. Mógłbym pani opowiedzieć wiele dziwnych rzeczy tragicznych, jakie się wydarzyły w tym kraju, nawet tu w Beni-Mora, tragedii gwałtu, żądzy, chciwości... tragedii, których sprawcami byli nie arabowie.

Obrócił się raptownie i spojrzał jej prosto w oczy.

— Ale poco ja pani mówię to wszystko?—wyrzekł raptownie.—Stanie się, co sążzone; a takie kobiety, jak pani, są strzeżone.

— Strzeżone? Przez kogo?

— Przez własne dusze.

— Nie trwoży mnie los—rzekła spokojnie.

— Czyż potrzebuje mi pani mówić o tem? Panno Enfilden, nie wiem, doprawdy, poco powiedziałam pani nawet to trochę, które powiedziałam. Jestem bowiem, jak pani wiadomo, fatalistą. Niektórzy jednak ludzie, bardzo rzadcy, potrafią do tyła wzbudzić nasze względy, iż każą nam zapominać o naszych zasadach i mogą nawet poprowadzić nas do walki z zarządzeniami Opatrzności. Cokolwiek panią czeka, przetrwa pani to wszystko. To jedno wiem. Pocóż mam ja, lub ktobądź inny, dociekać więcej dla pani? Wszelako są zawsze chwile, w których i najdzielniejsi potrzebują ręki ludzkiej ku pomocy, głosu ludzkiego ku pochrzepieniu. Gdziekolwiek będę w pustyni... a o tem pani doniosę...—jestem zawsze na pani usługi.

— Dziękuję panu—rzekła po prostu.

Podawała mu rękę. Zatrzymał ją, jakby to czynił ojciec lub opiekun.

— I ogród ten dniem i nocą należy do pani. Smain wie o tem.

— Dziękuję panu, — rzekła znowu.

Rzenie przenikliwe konia dobiegło do nich z oddali. Ręce ich rozłączyły się. Hrabia Anteoni patrzył z wolna dokoła na wielkie drzewo kokosowe, na dani puszystą trawnika, na dorodne drzewa bambusowe i płaczące drzewa morwowe. Domini widziała, iż przesyła im pożegnanie milczące.

— Była tu pustka—rzekł wreszcie westchnieniem pół-tłumionem. Uczyniłem z tego mały raj i teraz to opuszczam.

— Na pewien czas tylko.

— A jeżeli na zawsze? Otóż wielką jest sprawą, gdy kto, mając pustkę w sobie, uczyni z tego raj, jeżeli to możebne. Jak wiele jednak istot ludzkich burzy się przeciw wielkiemu Ogrodnikowi! Bądź co bądź, nie należę do ich rzędu.

— Nie pragnę i ja należeć do nich.

— Czy tu się mamy pożegnać?

— Nie. Pożegnajmy się z muru ogrodowego, i niech widzę pana jadącego w pustynię.

Przez chwilę zapomniiała, że jego droga wiodła szlakiem przez oazę. On nie przypomniał jej tego. Było bardzo łatwo przejechać na przestrzał pustyni i złączyć się ze szlakiem tam, gdzie on się rozciągał od palm ostatnich.

— Niech i tak będzie. Proszę tedy do muru.

Ucisnął znowu jej rękę i poszedł z wolna ku willi po bładem srebrze piasku. Gdy postać jego zakryły już trzony drzew, Domini udała się ku białemu ogrodzeniu. Siadła na jednym z małych siedzeń, wyciętych w murze, wsparła głowę na rękach i czekała.

Po chwili usłyszała tętent konia w pobliżu, i hrabia Anteoni, w towarzystwie dwu służących przybocznych arabów, wjechał na drózkę pod murem i ciągnął ku niej. Jechał na wysokiem siodle arabskiem czerwonym, i bogato ozdobna strzelba była przewieszona w pochwie haftowanej przez jego prawe ramię. Wielki miękki kapelusz brunatny osłaniał twarz jego od słońca. Dwaj służący jechali w odległości kilku kroków i zatrzymali się, oczekując, w cieniu muru.

— Czy nie bierze panią ochota pojechać także?—zapytał.—Tam, hen.—I wskazał batem w kierunku jakby uśpionego błękitu na horyzoncie dalekim.

Domini wychyliła się, patrząc z góry na niego i na jego konia, który bił kopytem, wyginał swą białą szyję i ociekał pianą z czarnego i ruchomego pyska.

— Nie—odrzekła po chwili namysłu. Muszę wyrzec prawdę, pan wie o tem.

— Przede mną... zawsze.

— Czuję, że miał pan rację, że moja dola jeszcze nie nadeszła.

— A kiedy nadejdzie?

— Wtedy bez lęku będę jej posłuszną, gdyby nawet wieść miała w burzę i w ciemności.

On spojrzał na niebo promienne, na złote snopy, błyskające w dole palm.

— Koran powiada: Los każdego człowieka uwiązany u jego szyi. Oby pani los był tak jasny i piękny, jak pereł sznur.

— Kiedy ja nigdy nie lubiłam pereł—odrzekła.

— Tak? Jakież są pani kamienie?

— Rubiny.

— Krew! A inne?

— Szafiry.

— Niebo w czas nocy.

— I opale.

— Ognie płonące poprzez biel asp w świetle miesiąca. Czy pamięta pani?

— Pamiętam.

— I nie pyta mnie pani o koniec widzenia wróżbity nawet teraz?

— Nie.

Zawahała się przez chwilę. A potem dodała:

— Powiem panu, dlaczego. Oto zdawało mi się, iż w niem była wyrocznia zarówno dla kogoś innego, jak i dla mnie, i że dociekanie tego było by może wdzieraniem się w cudze tajemnice.

— Ta była pani racya?

— Moja wyłączna racya.

A potem dodała, powtarzając rozmyślnie słowa Androwskiego:— Mniemem, iż są rzeczy, które winny pozostać w ukryciu.

— Być może...ma pani słuszność.

Powiew silniejszy świeżego wiatru przepłynął nad równiną i wszystkie palmy zakołysały się. Przez ogród przeciągnął lekki dreszcz życia.

— Moja dziatwa szemrze mi: Bądź zdrowy! — wyrzekł hrabia.— Słucham ją. Już czas. Żegnam panią, panno Enfilden, moja przyjaciółko, jeżeli można tak zwać panią. Niech Allah ma panią w swojej opiece, a gdy przyjdzie dola pani, niech pani będzie jej posłuszną jedynie.

Gdy mówił ostatnie te słowa, zasnuty nieco głos jego spadł na nutę głęboką surowej, prawie uroczystej, powagi. A potem uniósł kapelusz, tknął konia piętami i powcwałował na słońce.

Domini patrzyła na trzech jeźdźców, aż póki nie stali się plamkami na powierzchni pustyni. Ztrzech plamek uczyniła się potem jedna—i zniknęli w podobnym do snu jaśnieniu poranka. Nie poruszała się jednak. Siedziała z oczyma utkwionemi w błękit horyzontu. Do ducha jej weszło wielkie osamotnienie.

Wstała, westchnawszy. Ogród zdał się jej przez chwilę tragicznym, pogrążonym w smętku rozpaczny. Gdy zwróciła się, by go opuścić, postanowiła wraz udać się do księdza. Nie była nigdy w jego mieszkaniu. Teraz właśnie czuła potrzebę wynurzenia się przed kimś, z kim mogłaby być, jak małe dziecko, przed kim mogła by wyzwolić część swojej duszy w sposób prosty i być pewną, iż w sposób prosty zostanie zrozumianą i poludzką odczuta. Pragnęła nie tyle przyjaciela, ile doradcy duchowego. Coś w niej było obecnie czujnego, coś w rozterce, coś, co już prawie rozumieć miała, co wy-

magalo ręki kojącej, nie ludzkiej miłości, lecz uczuć religijnych.

Gdy stanęła przed domem księdza, Beni-Mora drgało już tonem radosnym życia. Skrós jego symfonię przedzierała się dźwięczna pobudka wojskowa. Spahowie cwałowali po białej drodze szerokiej. Strzelcy rozwozili depesze. Żuawi stali pod palmami, patrząc spokojnie w poranek, spalone słońcem ręce wolno złożywszy na karabinach, których kolby oparte były na piasku.

Ale Domini zaledwie zwróciła uwagę na promienną weselność życia dookoła. Była czem innym zajęta, nawet smutna. Teraz, gdy weszła do małego ogródka księzowskiego i zastukała łagodnie do drzwi, uczucie nadziei, zrodzone pod władzą ożywczą religii, wezbrało w jej sercu stroskanem.

Chłopiec arabski ukazał się na stuknięcie i oświadczył jej, że ksiądz jest w domu. Wprowadził też ją odrazu do małego, całkowicie zastawionego pokoju, z bielonymi ścianami, i z oknem otwartym na

tylne obejście, gdzie kilka wielkich drzew palmowych kotłowało swe wachlarzowate wierzchołki nad pięknie usypanym piaskiem.

Po chwili wszedł ksiądz, uśmiechając się przyjaźnie i wyciągając obie ręce na powitanie.

— Proszę księdza, — rzekła Domini od razu, — przyszedł na małą duchową rozmowę z księdzem. Czy ma ksiądz chwilę wolną dla mnie?

— Proszę, proszę siadać. Najchętniej.

Podsunał słomiane krzesło dla Domini i sam siadł naprzeciwko.

— Czy ma pani strapienie?

— Nie mam właściwie powodu, jednak. —

Chwilę milczała. A potem rzekła:

— Chciałabym powiedzieć nie-
coś o mem życiu księdzu.

Ksiądz spojrzał na nią życzliwie bez słowa.

Oczy jego zachęcały do mówienia, to też całkiem już bez wahania, w krótkich i zwięzłych słowach, powiedziała mu, poco przybyła do Beni-Mory i trochę szczegółów z tra-

gedyi jej rodziców i ich wpływu nanią.

— Potrzebowałam odnowić me serce, odnaleźć się, — rzekła. — Nie zaznałam w życiu ciepła, czułości. Nie straciłam, to prawda mej wiary, lecz zapomniałam prawie, żem ją kiedy miała. Mały z niej czyniłam użytek. Pozwoliłam jej rdza-
wieć.

— Wielu tak czyni, ale wreszcie przychodzi chwila, gdy czują, że jedyną tę tarczę trzeba wynieść wysoko, by zwalczyć smutki i przeciwności życia, lub — w braku jej upadek grozi w godzinie potrzeby

— Tak jest.

— Taka godzina potrzeby nadeszła teraz dla pani. Zali jednak kiedy godzina ta jest zbędną?

— Czuję dzisiaj, iż...

Zatrzymała się, raptownie świadoma całej nieokreśloności swego zrozumienia. Czyniło to położenie jej ciężkiem, mowę trudną do świadczenia. Czuła, iż potrzebowała czegoś, — zaledwie jednak wiedziała, czego, — ani dokładnie, po co nawet tu przyszła. DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× Znany tłumacz utworów polskich na język czeski, Franciszek Kvapil, przełożył tragedję Słowackiego „Beatrix Cenci”. Wystawienie tego dzieła zapowiada dyrekcja teatru w Pradze na d. 23 września r. b., jako na dzień setnej rocznicy urodzin poety.

× Znana powieść Wł. St. Reymonta „Komediantka” przetłumaczona została na język czeski. „Narodni Listy”, oceniając tę powieść, piszą między innymi: Przekład „Komediantki” Reymonta, literata, którego zaliczamy do najlepszych dzisiejszych beletrystów polskich, wzbogaca literaturę czeską istotnym obrazem życia, potrzeb i stosunków zakulisowych. Nasza domowa literatura czeska, oprócz drobnych felietonów i humoresek, nic innego z tej dziedziny nie posiada; nie mamy żadnego głębszego studjum z tego świata, jakkolwiek byłoby ono w piśmiennictwie czeskim bardzo pożądane. Brakowi temu zapobiega właśnie przekład „Komediantki”.

Z literatury francuskiej.

× Anatol France. „Siedem żon Sino-brodego i inne bajki” („Les sept femmes de la Barbe-Bleue et autres contes merveilleux”). Do czterech starych bajek: „Sinobrody”, „Cud ś-go Mikołaja”, „Śpiąca królewna”, „Koszula człowieka szczęśliwego” — autor, posłuszny swej bujnej wyobraźni, która lubuje się w fikcjach osobliwych i kapryśnych, dodaje fakty nowe a dziwaczne. Urok i wartość książki nie polega na samych pomysłach sztucznych, często nieprzystojnych, lecz na subtelnej złośliwości, na głębokiej ironii, właściwej France’owi. Styl, jak zwykle u autora „Ogrodu Epikura”, niedościgniony w swej czystości i wytworności przez żadnego ze współczesnych pisarzy francuskich.

× Fernand Nicolay. „Co ubodzy myślą o bogatych” („Ce que les pauvres pensent des riches”). P. Nicolay, będąc z zawodu adwokatem, ma częstą styczność z niższymi warstwami ludności i napisał już cały szereg studyów z ich życia; między innymi książka p. t. „Dzieci złe wychowane” cieszyła się wielkiem a zasłużonem powodzeniem. Do studjum najnowszego autor zacerpnął treści ze środowiska rękodzielników; znając je dokładnie, usiłuje wykazać, że nie na tych nędzarzy-pracowników spada odpowiedzialność zarówno za ich czyny, jak i za sądy ich o rzeczach i ludziach. Odpowiedzialnością tą obarcza w znacznej mierze bogaczy. Jakkolwiek uznaje przeważnie słuszność roszczeń robotników, niemniej autor występuje ostro przeciw fanatycznym teoretykom, którzy ognistemi przemowami spacyyli pojęcia tysięcy dzielnych ludzi. W dyalogach żywych i logicznych robotnicy w książce p. Nicolay’a sami potępiają poprzednie swoje zapatrywania.

× Gérard de Lacaze-Duthiers. „Kult ideału czyli arystokracja”. („Le culte de l’Idéal ou l’Aristocratie”). Autor, porzucając utarte ścieżki estetyki urzędowej, przedstawia własne zapatrywanie na życie, pojęte jako dzieło sztuki. Życie estetyczne jest dla p. Lacaze’a-Duthiers’a życiem autonomicznem, życiem sumienia, które pozwala człowiekowi obchodzić się bez pomocy dogmatów i przepisów prawa. Wszelako nie wkracza autor w anarchię, ani w socjalizm. „Arystokracja” jest dla niego władza kierowania sobą według danego ideału piękna, w walce ze szpetotą; kult myśli, w przeciwieństwie do kultu słowa; kult czynu płodnego w przeciwieństwie do bezpłodnej agitacji politycznej. Są w tej książce stronicie śmiałe, piętnujące surowo „medyokrację” karyerowiczów i rozmaitych łotrów moralnych. Autor wzywa artystów do urzeczywistnienia sztuki życia; nawołuje ich, żeby opu-

ścili „wieżę z kości słoniowej”, w której się odosobnili, i żeby stali się podporą i kierownikami ludzkości za sprawą sztuki prawdziwie ludzkiej.

Z literatury amerykańskiej.

× Zuzanna Glaspell. „Prawa zwycięzonego” („The Glory of the Conquered”). Mało dotąd znana powieściopisarka wysunęła się tym romansem w którym opowiada dzieje wielkiej miłości, w pierwsze szeregi. Z siłą niezwykłą z uczuciem gorącym, poezyi pełnem, skreśla dzieje artystki, która porzuca ukochaną sztukę dla męża, uczonego, a dotkniętego strasznem klectwem ślepoty. Artystka z pracowni malarskiej przechodzi do laboratorium, obznajmia się z pracą naukową i pod kierunkiem niewidomego męża prowadzi dalej jego badania.

TREŚĆ NUMERU 32-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Dzikość i swojskość. Jan Lemański.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chotoniowski, Kraków, ul. Zybkiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie